



4 krańce Europy - dziennik z wyprawy rowerowej do Cabo da Roca

2012-09-25

W środę, 1 sierpnia, punktualnie o godzinie 9.00 spod krakowskiego magistratu wyruszyła druga już wyprawa z cyklu „4 krańce Europy” zorganizowana przez Tyniecką Grupę Rowerową. Zapraszamy do lektury dziennika z wyprawy krakowskich rowerzystów, którzy dotarli do najdalej wysuniętego na zachód punktu naszego kontynentu - przylądka Cabo da Roca w Portugalii!

Dzień 1. (1 sierpnia 2012 r.)

Nadszedł wreszcie upragniony przez nas dzień, na który czekaliśmy cały rok. Właśnie dziś spod klasztoru oo. Benedyktynów w Tyńcu wyruszyliśmy zdobywać zachodni kraniec Europy - przylądek Cabo de Roca w Portugalii. Miejsce startu wybraliśmy nie przypadkowo - podobnie jak podczas ubiegłorocznej wyprawy, tak i w tym roku wsparcia duchowego udzielili nam Benedyktyni, którzy odprawili Mszę w naszej intencji. Tym razem w podróż udajemy się liczniejszą grupą liczącą aż 11 osób, w związku z tym dbając o bezpieczeństwo zwróciliśmy się do Policji z prośbą o eskortę do Magistratu, gdzie pożegnali nas przedstawiciele Krakowa, skąd wyruszyliśmy



realizować nasze marzenia. Niestety, już kilka godzin później przytrafiła nam się nieprzyjemna sytuacja - wyprzedzająca nas „gruszka” ochlapała nas betonem, brudząc nam część ekwipunku. Na szczęście nasza dalsza droga przebiegła pomyślnie bez żadnych zakłóceń. Po kilku godzinnej jeździe dotarliśmy się do małej miejscowości przed Skoczowem, gdzie zatrzymał nas sympatyczny pan, który zaproponował pomoc w znalezieniu noclegu. W rezultacie czego pierwszą noc naszej wyprawy spędziliśmy vis a vis komisariatu w Jaworze.

Dzień 2. (2 sierpnia 2012 r.)

Dzisiejszego dnia przekroczyliśmy granicę w Cieszynie. Zwiedzając Cieszyn dało się zaobserwować, że zarówno czeska jak i polska strona współpracują znakomicie. Tylko bystre oko zauważy granicę dzielącą te miasta. Z Cieszyna skierowaliśmy się na szlak Greenways słynący z licznych drzew owocowych znajdujących się przy drodze. I my nie mogliśmy się oprzeć pokusie skosztowania śliwek. Pod wieczór dojechaliśmy do Hukvaldy, gdzie znajduje się zabytkowy zamek ulokowany na bardzo wysokiej i stromej górze, co stanowiło dla nas bardzo niespodziewane wyzwanie. Pod koniec podjazdu, niektórzy z nas poczułi chęć rywalizacji i postanowili spontanicznie zorganizować sprint pod zamek. Niestety, w





ferworze walki jeden z atakujących odbił się od sakw swojego kompana i wylądował w krzakach. Ale nawet to nie pozwoliło nam choć na chwilę zapomnieć o walce! Nocleg znaleźliśmy kilka kilometrów dalej u miłego gospodarza, który udostępnił nam basen. Tym razem postanowiliśmy, że wyruszamy wcześniej rano!

Dzień 3.

(3 sierpnia 2012 r.)

Pomimo trudności udało nam się wcześniej wstać, w co sami wątpiliśmy. Skierowaliśmy się do Stramberku, gdzie mieliśmy okazję skosztować lokalnych specjałów – „stramberskie uszy”, czyli podpłomyki z korzennego ciasta, których woń dało się czuć w całym Starym Mieście. Stramberk słynie z masywnej wieży widokowej powstałej w drugiej połowie XIV wieku, z której rozpościera się widok na całą okolicę. Wstęp kosztuje 35 koron, ale po negocjacjach udało nam się wejść za darmo w zamian za zdjęcia. Wyjeżdżając ze Stramberku skierowaliśmy się z powrotem na szlak Greenways, gdzie w dalszym ciągu rozkoszowaliśmy swoje podniebienia owocami dojrzewającymi w pełnym słońcu. To właśnie to wspomniane słońce było przyczyną nieprzyjemnej sytuacji – z powodu uciążliwego upału i dużych wzniesień jedna z uczestniczek załapała i konieczna była interwencja lekarska. Niestety ubytek sił był zbyt duży by kontynuować podróż. Z natychmiastową pomocą przyszli nam ludzie z najbliższego domu – to oni wezwali pogotowie, pocieszali nas i udzielili nam wsparcia, a gdy lekarz stwierdził, że Ania potrzebuje odpoczynku – zaproponowali nocleg i ugościli nas śliwowicą. Właśnie tak zakończył się najsmutniejszy dzień naszej wyprawy.



Dzień 4.

(4 sierpnia 2012 r.)

Wyruszamy żegnając się z gospodarzami i zapraszamy ich do Krakowa. Od teraz jedziemy już w 10 mając nadzieję, że teraz nasza wyprawa będzie przebiegać bez negatywnych niespodzianek. Już zaledwie kilka godzin później mamy okazję utwierdzić się w przekonaniu, że gościnność wcześniej spotkanych Czechów nie była przypadkiem – od napotkanej kobiety dostaliśmy czeski przysmak aby dodał nam sił i wzmocnił w dalszej podróży. W Tynie nad Beczwą zwiedziliśmy mury obronne zamku Hellsztyn. Jesteśmy bardzo zaskoczeni stanem ścieżek rowerowych i dróg, którymi wiedzie nasz rowerowy szlak. W przerwach marzymy, żeby i w Polsce było podobnie pod tym względem. Do Brna dojechaliśmy koło godziny 18, gdzie po wyczerpującej podróży zwiedzanie miasta zaczęliśmy od... pizzerii :) Na rynku umieszczone były rzeźby z piasku artystów z całej Europy – niesamowity widok, to nieprawdopodobne, że z piasku można stworzyć tak piękne posągi. Najciekawszym z zabytków była gotycka Katedra św. Piotra i Pawła. Gdy dzwony na kościelnej wieży uderzają 12 razy, oznacza to, że





jest właśnie godzina... 11! Wiąże się to, z epizodem z wojny trzydziestoletniej gdy szwedzki generał zdobywający Brno zapowiedział, że odpuści oblężenie jeśli miasta nie uda się zdobyć do południa – jego żołnierze przypuścili szturm o 11 zdobywając je. Nocleg znaleźliśmy 10 kilometrów za Brnem tuż przy pensjonacie po raz kolejny korzystając z gościnności Czechów.

Dzień 5.

(5 sierpnia 2012 r.)

Wyruszamy na południe kierując się w stronę Austrii. Opat niesamowicie nas zmęczył więc już przed południem byliśmy wyczerpani. Jadąc mozolnie po okolicznych górkach dojechaliśmy do krainy słynącej z wielu winnic. Przez przypadek trafiliśmy na orkiestrę. Z początku byliśmy przekonani, że będziemy mieć okazję zobaczyć czeskie wesele ale jak się później okazało było to coś zupełnie innego, ale równie ciekawego – obchody winobrania. Czesi od razu do nas podeszli i w akompaniamencie muzyki zaczęli częstować nas winem własnej produkcji. Trzeba przyznać, że w smaku były bardzo dobre. W rewanżu poczęstowaliśmy ich śliwowicą – im też smakowało :) W lepszych humorach wyruszyliśmy w stronę granicy robiąc jeszcze krótką przerwę w Znojmo. Około godziny 18 przekraczamy granicę i w chwilę później próbujemy znaleźć nocleg. Udaje się dopiero za trzecim razem, ale z kolei u Polaków! Jesteśmy więc ugośczeni staropolskim zwyczajem.



Dzień 6.

(6 sierpnia 2012 r.)

Już na początku dnia odchodzimy od założonego planu aby odwiedzić klasztor Benedyktynów w Altenburgu. Mimo, że klasztor nie jest mały jest bardzo zadbane i stanowi wspaniałe miejsce do krótkiego odpoczynku. Po kilkuminutowej rozmowie opat zdecydował się wesprzeć szczytny cel – przeznaczyć pewną kwotę na rehabilitację Marioli (wszystkich innych też do tego zapraszamy, szczegóły znajdziecie na stronie stowarzyszenia Sursum Corda i naszej witrynie) co dodało nam trochę otuchy. Z klasztoru wyruszamy z mocnym postanowieniem nadrobienia „zgubionych kilometrów”, jednak po przejechaniu zaledwie trzydziestu nie możemy się oprzeć pokusie by chociaż na chwilę zatrzymać się przy okolicznym jeziorze. Pałące słońce i strome podjazdy do tego stopnia dają nam się we znaki, że tracimy poczucie czasu i z przerwy mającej trwać 20 minut, zrobiła się przerwa kilkugodzinna... Tylko nie pomyślcie, że jesteśmy leniwi i nie chcieliśmy poznawać dalszych zakątków Austrii – po prostu nasze dalsze plany brutalnie zweryfikowała pogoda. W ciągu kilkunastu minut zebrały się czarne chmury, którym towarzyszył porywisty wiatr. Konsekwencją tego były efekty specjalne w postaci wielkiej ulewy i dużego gradu. Zdecydowaliśmy się dojechać do pierwszego bezpiecznego miejsca i przeczekać te niespodziewane anomalie pogodowe – tym razem szczęście nam sprzyjało spaliśmy na terenie





zadaszonego kompleksu sportowego w Friedersbach, do którego i tak dojechaliśmy mocno przemoczeni.

Dzień 7. (7 sierpnia 2012 r.)



Dzień rozpoczynamy od zwiedzania Zwettl słynącego z tego, że co jakiś czas zmienia się kolor miasta i jego znaki. My trafiliśmy na kolor zielony. Jeszcze przed południem odwiedzamy warownię w Rappottenstein. Wszystkim, których interesują tego typu budowle polecamy go zobaczyć. Ulokowany jest na skałach na szczycie góry skąd rozpościera się widok na całą okolicę. Jest pewne, że w przeszłości była to twierdza, której nie sposób było zdobyć. Po szybkim zwiedzaniu wyruszamy w dalszą drogę, by nadrobić straty z poprzednich dni, jednak i tym razem coś staje na przeszkodzie... Przez przypadek na naszej trasie znajduje się Bärenwald czyli las z niedźwiedziami. W odległości ledwie kilku metrów możemy podglądać niedźwiedzie, które żyją w tych częściach Europy. Niesamowite przeżycie oraz ciekawie zaprezentowana dawka informacji na temat ich życia, żywienia i zachowania, no bo kto by przypuszczał, że dzienny koszt utrzymania jednego niedźwiedzia to 12 euro, a w ciągu roku taki miś potrafi zjeść ponad 1400 kg owoców, 660 kg warzyw i... 5 kg miodu, a to i tak nie jest jego pełny jadłospis. Na miejscu można porównać swój wzrost ze przeciętnym wzrostem niedźwiedzia grizzly, polarnego albo brunatnego. Trzeba przyznać, że robi wrażenie. Następnie, już z rowerów zwiedzamy malowniczą wioskę Königswissen, która zdobyła tytuł „najpiękniejszej wsi” w roku 1968. W niej znajduje się zabytkowy kościół z pięknym zdobieniem drewnianymi. Tak więc kolejny raz los sprawia, że powiększamy swoją stratę, dlatego po raz pierwszy decydujemy się na jazdę nocą, którą kończymy na dzikiej łące, tuż przy budynku Straży Pożarnej.

Dzień 8. (8 sierpnia 2012 r.)



Dojeżdżamy do Linz – miasta które miało przyćmić swoim wyglądem Wiedeń (gdyby plany Hitlera się sprawdziły). Po zwiedzeniu niemal całego miasta musimy stwierdzić, że najciekawszym punktem na mapie była katedra św. Piotra i Pawła. Zawiera ona wiele imponujących witraży. Niektóre są wykonane w tak realistyczny sposób, że patrząc na nie ma się wrażenie jakby się miało przed sobą zdjęcie, po prostu ciężko oderwać oczy! Katedra liczy sobie zaledwie 150 lat ale jest wykonana w takim stylu, że wygląda na dużo starszą. Liczba dróg i skrzyżowań znajdujących się w Austrii, była dużo większa niż znajdujących się na mapie, co dodatkowo zwiększyło ilość pokonanych przez nas kilometrów. W Lambach zgodzili się nas ugościć Benedyktyni, którzy poczęstowali nas tradycyjnym Wurst oraz piwem.



Dzień 9. (9 sierpnia 2012 r.)

Opuszczamy Lambach żegnając się z Bratem Eliaszem. Dzień mija nam na poznawaniu uroków Austrii – nasza trasa wiedzie wzdłuż Attersee jednego z największych jezior na naszej trasie. Zadziwia nas rozbudowana infrastruktura rowerowa. Dla ścieżek rowerowych budowane są specjalne wiadukty, przejazdy na nawet tunele w skałach. Do Salzburga dojeżdżamy około 20; znów mamy szczęście – po raz drugi śpimy u Benedyktynów.



Dzień 10. (10 sierpnia 2012 r.)

Odkrywamy Salzburg – miasto muzyki przez duże „M”. W wielu kościołach, prawie na każdym skrzyżowaniu rozbrzmiewa muzyka. W prawie każdej witrynie sklepowej, restauracji a nawet na znakach można znaleźć nawiązanie do Mozarta – jednego z najwybitniejszych Austriaków. Miasto dba o to by nikt nie zapomniał o tym, że to właśnie tu 256 lat temu narodził się geniusz muzyki, tak naprawdę jest on tu na tyle popularny, że miasto mogłoby zmienić swoją nazwę z Salzburg na Mozartburg. Najciekawszym zabytkiem jest twierdza, która znajduje się na bardzo wysokim wzgórzu; wiedzie tu ścieżka, ale można też wjechać kolejką. W twierdzy można zobaczyć komnatę z narzędziami do tortur, salę z marionetkami oraz zbrojownię. Z wieży widokowej rozpościera się widok nie tylko na całą panoramę Salzburga, ale również na okoliczne góry, które były przykryte chmurami. Wieczorem opuszczamy miasto i znajdujemy nocleg w szopie;)





Dzień 11. (11 sierpnia 2012 r.)

Wyobraźcie sobie kraj w którym są drogi bez dziur, kierowcy nie trąbią na rowerzystów, ścieżki rowerowe rozpoczynają się kilkanaście kilometrów przed miastem i pokryte są asfaltem a nie kostką. Kraj w którym ciężko znaleźć kosz na śmieci, a mimo to nie ma brudu na ulicach, nie ma też graffiti, a wszystko dokoła jest zadbane. Wyobraźcie sobie to wszystko, a gdyby pomimo wszystko zabrakło Wam fantazji to wsiadajcie na rower lub do samochodu i jedźcie na południowy zachód tak długo aż zobaczycie tabliczkę z napisem „witamy w Austrii”. Właśnie taki obraz Austrii nam się maluje po kilka dniach pobytu. Widać tu niemiecką precyzję i porządek; widać, że i tu zastosowanie znajduje niemieckie powiedzenie „Ordnung muss sein”. Pomimo, że po ścieżkach jedzie się wyśmienicie przytrafiają nam się dziś dwie drobne awarie – urwana linka od przerzutki oraz przetarta opona. Reszta dnia mija nam bez kłopotów i udaje nam się nawet przejechać ponad 100 kilometrów. Jedziemy doliną co daje nam możliwość zerkania co jakiś czas na masyw górski Kaiser ze szczytem Kaiserberg liczącym ponad 2300 m.n.p.m. Wreszcie czuć smak prawdziwych Alp! Mamy nadzieję, że pomimo drobnych niepowodzeń uda nam się zobaczyć upragniony Innsbruck.



Dzień 12. (12 sierpnia 2012 r.)

Postanawiamy zwiedzać wszystkie zamki jakie będą na naszej drodze, jednak jak się później okazało przeceniliśmy swoje możliwości, w końcu czas nie jest z gumy. Pierwszy zamek, a właściwie jego ruiny zwiedzamy w malowniczej miejscowości Rattenberg, o której raczej nie poczytacie w przewodnikach, a warto do niej zajrzeć jeśli macie ją po drodze. Słynie ona z ręcznie wykonywanych wyrobów szklarskich. Kolejny zamek, który chcieliśmy odwiedzić był zamknięty – należał do prywatnego właściciela i nie można było się do niego dostać. Koło południa natrafiamy na kolejny zamek w Matzen, który od razu przykuwa naszą uwagę – okazuje się, że i ten jest w prywatnych rękach, ale akurat był odrestaurowywany przez brygadę z Polski. Dzięki ich uprzejmości udało nam się trochę zobaczyć i nawet wejść na wieżę. W chwili obecnej zamek pełni funkcję hotelu – można tu za skromne 200 euro wynająć pokój (dla jednej osoby, w najtańszej wersji), my jednak decydujemy się na darmową wersję noclegu, może mniej wygodną, ale ciekawszą – spędzamy noc na placu zabaw w Innsbrucku.



Dzień 13. (13 sierpnia 2012 r.)



**Magiczny
Kraków**

Zwiedzanie miasta turystycznego na rowerach to ciężka sprawa – dlatego my rozpoczynamy już od samego rana. Do wczesnego wstania trochę mobilizuje nas deszcz. Pierwszym punktem na naszej mapie jest skocznia, jest to jedna z tych na których odbywa się styczniowy Turniej Czterech Skoczní. Z niej rozciąga się widok na cały Innsbruck i na... cmentarz. Na skocznie można wejść piechotą lub wjechać nowoczesną kolejką – my wybieramy tę drugą wersję, a z racji tego, że Kraków jest miastem partnerskim Innsbrucka udaje nam się pozyskać darmowe bilety. Z ciekawszych rzeczy w Innsbrucku warto zobaczyć „złoty dach”, który choć mały jest dość unikalnym zabytkiem. Ciekawostką jest również galeria kryształów Svarowskiego, w której można było zobaczyć która ze sławnych osób nosiła bądź była w posiadaniu danej biżuterii. Po zwiedzeniu zabytków udajemy się na spotkanie z zastępcą Burmistrza, który przygotował mały poczęstunek specjalnie na nasze powitanie, próbujemy więc lokalnych specjałów, a przy okazji dowiadujemy się co nieco o historii miasta. Burmistrz proponuje nam by zobaczyć panoramę miasta z punktu widokowego (góra Hafelekarspitze) na wysokości 1905 metrów n.p.m., jest to kolejna atrakcja, którą udaje nam się zobaczyć za darmo. Wsiadając z kolejki czujemy lekki chłód i dość mocny wiatr, okazuje się, że nie wiele dalej leży jeszcze lód – pozostałość po zimie ;) W ten sposób kończymy swój pobyt w partnerskim mieście.



Dzień 14. (14 sierpnia 2012 r.)

Smak Alp czujemy już dość wyraźnie – dziś wyjeżdżamy na wysokość blisko 2000 m.np.m. pokonując tym samym ponad 1500 metrów podjazdów. Co prawda podjazd był morderczy i miejscami miał 13% nachylenia co biorąc pod uwagę trud naszej podróży i ciężar bagaży „dawało nam w kość”. Tylko Kuba, Szymon i Maciek sprawiali wrażenie jakby podjazd nie stanowił dla nich żadnej przeszkody. Nagrodą za wysiłek jest długi zjazd z imponującymi widokami wokoło. Niestety uwaga niektórych zbyt bardzo skupiła się na tych pejzażach i w konsekwencji tego widzieliśmy efekt brawurowej jazdy po serpentynach – jeden z samochodów dachował – na szczęście nikt nie ucierpiał.



Dzień 15. (15 sierpnia 2012 r.)



Wcześniej rano żegnaliśmy młodszą część Tynieckiej Grupy Rowerowej – do domu wracają Maciek, Szymon i Kuba – nasi specjaliści od spraw rowerowych. Od teraz będziemy musieli sobie jakoś sami poradzić z urwanymi linkami od przerzutek i innymi technicznymi sprawami, może być ciężko. Oni pojechali na wschód, a my skierowaliśmy się na zachód – w stronę Księstwa Lichtenstein, które akurat dziś obchodziło święto narodowe. W związku z tym każdy mógł wypić zdrowie Księcia i podać mu dłoń, a na turystów czekały liczne atrakcje – wszystkie cztery muzea w państwie były za darmo. Do najciekawszych naszym zdaniem należało Landesmuseum, w którym znajdowała się cała 300 letnia historia Księstwa, a nawet trochę ponadto – można było zapoznać się z fauną i florą jaką spotkać można na terenie Lichtensteinu. Innym ciekawym muzeum było Postmuseum, w którym przedstawiona była 100 letnia historia i tradycje poczty Księstwa - osoby zafascynowane filatelistyką z pewnością zainteresowałby fakt, że w muzeum można było podziwiać prawie wszystkie znaczki od momentu powstania instytucji poczty w Lichtensteinie. Co prawda Lichtenstein nie należy do Unii Europejskiej, ale znajduje się w strefie Shengen, gdyby ktoś mimo wszystko chciał mieć pamiątkowy wpis do paszportu to może go otrzymać za skromne 3 franki (lub ich równowartość w euro – na terenie Księstwa można płacić w obu walutach, a ceny są przeliczane z franków na euro) w informacji turystycznej znajdującej się w centrum Vaduz. Gdy czekaliśmy pod Kunstmuseum na resztę grupy podeszło do nas dwóch rodaków – Tomek i Piotrek pracujący od 2 lat na terenie Księstwa i opowiedzieli nam wiele ciekawych rzeczy związanych z Lichtensteinem, tutejszą kulturą, tradycjami i obyczajami. Na pożegnanie wręczyli nam 40 franków na rehabilitację dla Marioli za co im serdecznie dziękujemy! W związku ze świętem na noc został przygotowany blisko godzinny pokaz sztucznych ogni, które oglądaliśmy już z terenu Szwajcarii. Pokazowi towarzyszyły równie głośne i efektowne błyskawice – zbliżała się burza, która zastała nas już podczas snu.



Dzień 16. (16 sierpnia 2012 r.)

Wcześniej rano budzi nas ulewny deszcz niszcząc nasz misterny plan przejechania większej ilości kilometrów. Co prawda wyjeżdżamy dopiero po 11, ale przynajmniej jesteśmy wypoczęci i pełni energii. Po drodze mijamy trzy jeziora: Walensee, Obersee, Zürichsee. Przy jednym z nich karmimy kaczki i wróble. Pod wieczór dojeżdżamy do Rapperswill leżącego ok. 38 km od Zurychu. Znajduje się tu Polskie muzeum, w którym można się zapoznać z kulturą i tradycją Polski. Samo muzeum liczy sobie już ponad 130 lat, jednak jak głosi informacja na tablicy przed wejściem duża część eksponatów została zniszczona przez nazistów podczas drugiej wojny światowej. Niedaleko znajduje się kościół w stylu neogotyckim. Całe miasteczko jest dość ciekawym punktem na mapie i z pewnością warto tam przyjechać.





Dzień 17. **(17 sierpnia 2012 r.)**

Dojeżdżamy do Zurichu – miasta pełnego przepychu i cen równie wysokich jak otaczające go Alpy. Miasto, po którego ulicach poruszają się prawie wyłącznie samochody luksusowych marek. Jest to stolica światowej finansjery, więc nie ma za wiele do zobaczenia (pomijając luksusowe sklepy). A jeśli już mowa o pieniądzach... zapewne wiele osób ciekawi skąd jako symbol Szwajcarii litery „CH” – nie pochodzi to przecież od angielskiego Switzerland, ani niemieckiego Schweiz, którym posługuje się blisko 80% szwajcarskiego społeczeństwa. Odpowiedź można znaleźć między innymi na monetach. „CH” to akronim od Confederatio Helvetica – czyli Federacji Szwajcarskiej.



Wieczorem dojeżdżamy do Lucerny, miasta tętniącego życiem do późnych godzin wieczornych. Nawet o 1 w nocy można tu spotkać ludzi, spacerujących wzdłuż jeziora, jak również wielu tych, którzy wracają z imprez lub ... się na nie wybierają.

Dzień 18. **(18 sierpnia 2012 r.)**

Zwiedzamy Lucernę, miasto które jest perłą na tle reszty miast szwajcarskich. Jest tu wiele unikalnych zabytków, których próżno szukać w innych miastach. Lucerna leży nad jeziorem...Lucerna. Dwa brzegi miasta łączy stary, zabytkowy, drewniany most, który jest częściowo zrekonstruowany po wielkim pożarze. W środku (most jest zadaszony) na drewnianych tabliczkach znajdują się malowidła ilustrujące historię Szwajcarii – część z nich jest „nadgryziona” przez ogień – zostało to zachowane jako świadectwo pożaru. W niewielkiej odległości znajduje się elektrownia z końcówki 19-go stulecia, którą zbudowano w miejscu starego młynu. Przez każdą z 3 śrub przepływa 6 m³ wody, co pozwala wygenerować moc 45 KW. Jednak najslynniejszym zabytkiem Lucerny jest umierający Lew wyrzeźbiony w skale. To o nim Mark Twain pisał, że „Jest to najbardziej poruszający kawałek skały na świecie”. Po wyczerpującym zwiedzaniu, udajemy się na kolację do Edwina i jego żony, których zaniepokoiła nasza podróż i chcieli się co nie co o niej dowiedzieć. Noc spędziliśmy u życzliwych Kapucynów w ich ogrodzie.



Dzień 19. **(19 sierpnia 2012 r.)**



Po przejechaniu całej Austrii i ponad połowy Szwajcarii widzimy wiele podobieństw w tych krajach. W obu na każdym kroku spotykamy życzliwych ludzi, którzy starają się nam pomóc. Zarówno w Austrii, jak i w Szwajcarii, jest bardzo dobrze rozwinięta infrastruktura rowerowa, a drogi znajdują się w doskonałym stanie. W Szwajcarii podobnie jak w Austrii, gdy urodzi się dziecko jest zwyczaj, by przed domem wystawić drewnianego bociana z zawieszoną na szyi tabliczką informującą o dacie urodzin i imieniu pociechy. W obu krajach co pewien czas można natrafić na małe pola pełne różnokolorowych kwiatów. Każdy kto chce może sobie ściąć dowolny kwiatek, a należność powinien wrzucić do puszeki, obok której znajduje się informacja z cennikiem. Wieczorem dojeżdżamy do Solury – miasta partnerskiego Krakowa.



Dzień 20. (20 sierpnia 2012 r.)

Tym razem wstajemy bardzo wcześnie, ponieważ na nocleg wybraliśmy boisko przy szkole, a tu zaledwie kilka dni wcześniej rozpoczął się rok szkolny. W parku postanawiamy zjeść śniadanie i zdrzemnąć się przed spotkaniem z władzami miasta. Przejeżdżający na rowerze mężczyzna podchodzi i pyta czy jesteśmy z Krakowa, wywołując lekkie zaskoczenie na naszych twarzach. Okazuje się, że jest to prezydenta miasta, z którym mieliśmy umówione spotkanie. Umawiamy się z nim w kawiarni, a w międzyczasie robimy zakupy i kończymy śniadanie. Pan prezydent opowiedział nam jak wygląda partnerstwo między Krakowem a Solurą i od czego się zaczęło. Od prezydenta dowiadujemy się również, że w Solurze znajduje się Muzeum Tadeusza Kościuszki. Po spotkaniu kierujemy nasze koła w kierunku stolicy Szwajcarii – Berna. Najciekawszym zabytkiem Berna jest wieża zegarowa, w której na 4 min przed pełną godziną, małe figurki odgrywają mały teatr. Niedaleko znajduje się dom Einsteina, w którym w 1905 r powstała teoria względności. Wydłuż całej uliczki znajduje się 11 fontann. Bardzo ciekawym punktem jest możliwość zwiedzenia parlamentu Federacji - niestety my trafiamy na grupę niemieckojęzyczną, więc nie dowiadujemy się zbyt wiele o historii. Wyruszamy z mocnym postanowieniem nadrobienia zgubionych kilometrów i dlatego jedziemy do północy.



Dzień 21. (21 sierpnia 2012 r.)



Kierujemy się Lozanną leżącą przy jeziorze Genewskim. Otaczające ją rejony słyną z produkcji dobrego wina i dlatego wzgórza porastają winoroślą. Przykryte siatką z daleka wygląda jak gdyby utkano na nich wielkie pajęczyny. W Lozannie robimy dłuższy postój nad jeziorem. Z tej formy wypoczynku korzysta chyba prawie każdy mieszkaniec miasta. Ludzi jest tak wiele, że ciężko jest znaleźć wolne miejsce. Kolejnym punktem na naszej trasie jest Genewa, z której wyjazd sprawia nam dużo problemów – każda osoba kieruje nas w inną stronę. Przez to tracimy ponad 2 godziny, na domiar złego wieczorem dopada nas burza...



Dzień 22. (22 sierpnia 2012 r.)

Dzień upływa nam na jeździe w niesamowitym upale. Koło południa dojeżdżamy do Annecy i już teraz możemy polecieć to miasto do zobaczenia każdemu, kto ma odrobinę czasu i wybiera się w te okolice. Usytuowane jest w pobliżu jeziora, a oczywiście w niewielkiej odległości rozciągają się pasma górskie, które dodają miastu uroku. Ponadto w mieście znajduje się wiele mostów i kilka mniejszych rzeczek – to wszystko sprawia, że można się poczuć jak w Wenecji. Zmęczeni po zwiedzaniu korzystamy z walorów rekreacyjnych Annecy i wybieramy się nad jeziora by choć na chwilę odetchnąć i ochłodzić się w wodzie. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że przed nami dwa długie i męczące podjazdy a wieczorem niespodziewany nocleg pod wiatą w lesie. Niestety znowu wymuszony przez pogodę. Tak czy owak dzień był udany!



Dzień 23. (23 sierpnia 2012 r.)



**Magiczny
Kraków**

Kolejny dzień zmagamy się z francuskimi podjazdami. Tak naprawdę żadne z wcześniejszych państw nie dało nam tak w kość jak Francja. Upały w Prowansji są ciężkie do zniesienia, a tu nie dość, że słońce mocno świeci to jeszcze co jakiś czas pojawia się dość mocny wiatr wiejący w twarz. My jednak uparcie postanawiamy dojechać jak najdalej i dopiero koło 23 dzięki przypadkowi znajdujemy całkiem przyzwoity nocleg na darmowym kempingu.



Dzień 24. (24 sierpnia 2012 r.)

Wyjeżdżamy wcześnie rano. Już na samym początku wita nas mocny wiatr w twarz, który powoduje, że kilometrów za bardzo nie ubywa pomimo tego, że dzień rozpoczynamy od zjazdu z gór. Tego dnia musimy nadrobić wiele kilometrów, bo w przeciwnym razie na sławne Mount Ventoux będziemy musieli wyjeżdżać w południe co przy tutejszych temperaturach byłoby katorgą. Los jednak nie sprzyja naszym planom – do wczorajszej przebitej dętki doszła zerwana linka od przerzutki i problemy żołądkowe – przez to wszystko tracimy trochę czasu i kolejny raz musimy korygować plany. Od Mount Ventoux dzieli nas jeszcze 30 kilometrów...



Dzień 25. (25 sierpnia 2012 r.)



Postanowiliśmy, że za wszelką cenę musimy zdobyć „Géant de Provence” - Olbrzyma Prowansji, dlatego wstajemy już o 4 rano i wyruszamy by nadrobić 30 km dzielących nas od gór, a przy tym nie doświadczyć „przyjemności” z wyjazdu w pełnym słońcu na szczyt. Początkowe kilometry idą bardzo szybko co dodaje otuchy i wiary w siebie. Problem pojawia się dopiero później gdy nachylenie się zwiększa - o tym, że podjazd jest naprawdę trudny świadczy fakt, że podczas Tour de France rozgrywanego w roku 1967 zmarł kolarz Tom Simpson. Jego symboliczny pomnik znajduje się na dwa kilometry przed szczytem, a zamiast zniczy poustawiane są... bidony i dętki. Dla nas na szczęście podjazd przebiegł bez komplikacji i mimo, że nie wjechaliśmy w takim tempie jak zawodowcy to i tak satysfakcja była ogromna a nagrodą za wysiłek był niesamowity widok - choć przejrzystość powietrza nie pozwalała zobaczyć najwyższych szczytów Pirenejów i Alp, które ponoć przy dobrej pogodzie można dojrzeć. Zjazd z wysokości 1912 m n.p.m. to czysta przyjemność! W ciągu zaledwie kilkunastu minut pokonujemy dystans, na który wcześniej zmarnowaliśmy pół dnia. Dzięki temu udaje nam się dojechać w okolice Avignonu. Choć deszcz ponownie pokrzyżował nasze plany to mieliśmy dziś dużo szczęścia - „nocleg sam nas znalazł” - wychodząc ze sklepu spotkaliśmy kobietę, która zainteresowała się naszą wyprawą i nas ugościła.



Dzień 26. (26 sierpnia 2012 r.)

Rano zegnamy się z goszczącą nas rodziną, a na pożegnanie proponują nam śniadanie z pysznymi babeczkami figowymi. Dojeżdżamy do dawnej Stolicy Apostolskiej - Awinionu. Samo miasto nie jest duże, ale jest tu wielu turystów, co nie dziwi, bo zwiedzanie Pałacu Papieskiego jest bardzo ciekawe. Sam pałac został wybudowany za „kadencji” zaledwie dwóch papieży, a w sumie rezydowało ich tu aż dziewięciu. Wejście do Pałacu oczywiście jest płatne, ale na samym początku otrzymujemy przenośny audio-przewodnik. Dzięki niemu każdy może zwiedzać w swoim tempie i obejrzeć tylko te zabytki, które go interesują. Z przewodnika dowiadujemy się wielu ciekawych informacji na temat zwyczajów papieskich, sposobu jego wybierania i funkcjonowania dworu papieskiego - na uroczysty obiad związany z wyborem nowego papieża przeznaczano ok. 4800 jaj, 900 koźląt, mnóstwo owoców, orzechów i wina. Resztkami z obiadu obdarowywano potrzebujących, codziennie Pałac Papieski udzielał wsparcia 1200 osobom. Wraz z Pałacem na listę UNESCO został wpisany towarzyszący mu most nad rzeką Rodan. Związana jest z nim legenda o świętym Beneziecie - wg niej Benezet usłyszał głos Boga, który nakazał mu zbudować most. Poszedł z tą informacją do biskupa, ale ten usłyszawszy o głosie Boga nie wiedział co zrobić. Król natomiast wybuchnął śmiechem i powiedział Benezetowi żeby zabrał głaz, który leżał w centrum miasta i żadnym sposobem nie można było go usunąć, bo był zbyt ciężki i wbudował go jako kamień węgielny pod budowę mostu. Benezet zabrał głaz i położył go w miejscu, w którym dziś można podziwiać fragment zachowanego mostu.





Dzień 27. **(27 sierpnia 2012 r.)**

Dziś również pozostaje nam zwiedzanie zabytkowego miasta – Nimes. Miasto założone przez Rzymian w czasie rozkwitu i ekspansji Imperium. Do dziś zachowało się wiele budowli, które swoją wielkością mogą przykuć uwagę nawet nie zainteresowanych tego typu zabytkami. Najważniejszym jest Arena zbudowana na wzór Koloseum. Odbywają się tu teraz pokazy toreadorów. W przeszłości miejscowa ludność uprzyjemniała sobie czas oglądając walki gladiatorów, polowania na zwierzęta i egzekucje skazanych. Obiekt może pomieścić aż 24 tys. osób! Ciekawym punktem są również ogrody gdzie można odpocząć po męczącym zwiedzaniu i zobaczyć panoramę miasta z wieży, na którą wstęp kosztuje skromne 3 Euro. Po raz pierwszy podczas wyprawy mamy możliwość dojechać nad morze, więc postanowiliśmy dojechać do niego za wszelką cenę. Los pokazał, że to nie był dobry pomysł... Z racji tego, że była piękna pogoda, morze sobie przyjemnie szumiało, a nad nami niebo mieniło się tysiącem gwiazd postanowiliśmy nie rozkładać namiotów. Około północy obudziły nas pierwsze krople deszczu, ale wiedzieliśmy, że to przejściowe i nie ma sensu rozkładać namiotu. Dopiero koło 1 gdy przejściowy deszcz okazał się być nie przejściowym rozłożyliśmy namioty, które rano były całe w piasku no i były całe mokre...



Dzień 28. **(28 sierpnia 2012 r.)**

Koło południa dojeżdżamy do Bezires – miasta, które jest bardzo zatłoczone. Jedyne ciekawym punktem w tym mieście jest katedra wybudowana w stylu gotyckim z bogatymi zdobieniami w środku i ogromnymi drewnianymi organami. Przy wyjeździe z miasta natrafiamy na winnice, w której degustujemy lokalnego wina. Właścicielka jest Słowaczką, ale zna trochę polski więc dowiadujemy się co nieco o wytwarzaniu i przechowywaniu wina. Od niej dowiadujemy się, że te z cukrem są „bardzo złe” bo cukier może reagować na temperaturę i jest nieprzewidywalny. Po dłuższym odpoczynku dojeżdżamy do Hompes, gdzie rozbijamy się niedaleko kanału. Choć miasteczko znajduje się w dość dużej odległości od morza; powstają tu nawet 40 metrowe łodzie.



Dzień 29. **(29 sierpnia 2012 r.)**



Z samego rana dojeżdżamy do Carcassonne. Krótka wizyta w szpitalu i kolejny deszczowy dzień nie są w stanie popsuć naszych planów. W Carcassonne znajduje się ogromny zamek, którego początki sięgają XII wieku, a później był stopniowo rozbudowywany przez kolejnych możnowładców. Do dziś zachowałoby się niewiele, bo zamek przez długi czas pozostawał w katastrofalnym stanie, a kamień, z którego był zbudowany służył lokalnej ludności jako budulec przy budowie domów. Jednak w drugiej połowie XVIII wieku podjęto starania, aby zamek odrestaurować przywracając mu pierwotny wygląd. Sam zamek jest tak wielki, że na jego terenie znajduje się wiele kawiarni, restauracji i domów mieszkalnych.



Dzień 30. (30 sierpnia 2012r.)

Pada deszcz – tak już było wczoraj... i przedwczoraj, i dwa dni temu, trzy dni temu... Od kilku dni codziennie możemy podziwiać uroki deszczowej pogody. Na ogół wraz z urokami burzy... Mimo to humory nam dopisują. Dziś wjeżdżamy do Saint Giron - droga poprowadzona jest przez jaskinię Mas-d'Azil, która robi niesamowite wrażenie, tym bardziej, że poniżej drogi płynie rzeka. Francja – pomijając stan dróg w miastach jest przyjaznym i gościnnym krajem dla rowerzystów. Co jakiś czas ktoś na nas zatrąbi pozdrawiając nas przy tym, albo zagada – przeważnie po francusku... Francuzi wychodzą z założenia, że każdy kto przyjeżdża do Francji zna język Voltaira równie dobrze jak i oni. Nie ma znaczenia czy zapytacie po angielsku, niemiecku, rosyjsku czy polsku – odpowiedź i tak otrzymacie po francusku. Bardzo mało osób zna angielski, a jak już znają to się tym zbytnio nie afiszują. Ale wracając do gościnności Francuzów... Dziś, koło godziny 22 w Castillonie zaczął nas pewien Francuz wypytując skąd jedziemy, dokąd, czy mamy nocleg... Po czym zaproponował nocleg u siebie w domu – przez wakacje go wynajmuje, bo sam mieszka w innym miejscu, ale teraz stoi pusty, a po co ma być pusty skoro może służyć nam :)



Dzień 31. (31 sierpnia 2012 r.)



Opuszczamy wygodny nocleg i wyruszamy w dalszą drogę. Od samego początku los nam nie sprzyja – najpierw nadrabiamy 30 kilometrów jadąc w złym kierunku – efekt złego oznakowania dróg. Złemu oznakowaniu dróg towarzyszył również kiepski stan nawierzchni – w konsekwencji przebita dętka i kolejna długa przerwa. Gdy już wyjeżdżamy na tę właściwą drogę zrywa się łańcuch i konieczny jest kolejny postój, na którym tracimy czas. Gdy wyczerpaliśmy limit pecha we wspomnianych kategoriach i myśleliśmy, że nic już nam nie przeszkodzi – na naszej drodze, a właściwie nad nią zagościła chmura z której lało jak z cebra.



Pomimo tych wszystkich problemów udało nam się zdobyć przełęcz Col de Portet d'Aspet na wysokości 1069 m n.p.m. Późnym popołudniem docieramy do St-Gaudens, gdzie akurat trwają przygotowania do imprezy sportowej – biegu po ulicach miasta. My pozostajemy przy rowerach – to chyba wygodniejsza forma relaksu. W drodze do Lourdes spotykamy polskiego księdza z Łodzi, który ofiarował 160 Euro na pomoc dla Marioli! Bardzo miłe zakończenie dnia po kiepskim początku.

Dzień 32.

(1 września 2012 r.)

Kolejny dzień, podczas którego towarzyszą nam chmury – z jednej strony to dobrze – jedzie się wygodniej niż w upalnym słońcu, ale z drugiej nie wiadomo kiedy znowu zacznie padać. W drodze do Lourdes niespodziewanie natrafiamy na zamek Mauvesin. Bardzo ciekawy i wart zobaczenia. Znajdują się tu eksponaty przedstawiające codzienne życie jego mieszkańców. Na dziedzińcu pozostawiono dawną broń służącą do obrony – katapulty, kusze; oraz tę służącą do oblężeń m.in. tarany; to wraz z murami o grubości 3,5 metra wystarczało, żeby zamku musiało strzec zaledwie 20 żołnierzy. Po południu dojeżdżamy do Lourdes. W pierwszej kolejności zwiedzimy... zamek! W tym, najciekawszym eksponatem są



miniaturowe makiety przedstawiające zabudowania z Lourdes wykonane tak realistycznie, że na zdjęciu ciężko byłoby rozpoznać czy przedstawia ono makietę czy rzeczywisty budynek. Po zwiedzeniu udajemy się do centrum miasta, by zobaczyć bazylikę i grotę, przed którą objawiła się Maryja. Miejsce imponuje swoimi rozmiarami; w powietrzu można odczuć religijne natchnienie – przed grotą klęczą ludzie odmawiający różaniec, a nieopodal inni nabierają świętą wodę. Pomimo, że jest sobota na terenie sanktuarium jest mnóstwo pielgrzymów, a z kościołów cały czas daje się słyszeć odgłosy odprawianych mszy. Jako ciekawostkę możemy powiedzieć, że miastem partnerskim Lourdes jest... Częstochowa. Tuż przed wyruszeniem w dalszą drogę, podchodzi do nas Polka ofiarując datek jako wsparcie dla Marioli.

Dzień 33.

(2 września 2012 r.)

Zmierzamy w stronę Hiszpanii, Lourdes było ostatnim punktem na naszej mapie jakie mieliśmy



zobaczyć we Francji. Po drodze po raz ostatni zerkamy na fantastycznie wyglądające francuskie pejzaże i rozrzucone na wzgórzach pola winorośli. Czas upływa nam na mozolonym pokonywaniu gór i pagórków północnych Pirenejów. Pod wieczór kupujemy jeszcze francuskie przysmaki, a na zakończenie pobytu natrafiamy na oryginalne miejsce na nocleg – trybuny przy boisku lokalnego klubu piłkarskiego.

Dzień 34.

(3 września 2012 r.)

Jeszcze przed południem dojeżdżamy do zachodniego wybrzeża Francji. Przed nami Atlantyk! Jadąc cały czas wzdłuż wybrzeża szybko dojeżdżamy do Hiszpanii – przedostatniego kraju, jaki będziemy odwiedzać podczas podróży. Naszym pierwszym punktem do zobaczenia w Hiszpanii jest San Sebastian, z którego hiszpańska arystokracja uczyniła swój kurort. Znajduje się tu też kilka ciekawych zabytków, a nad miastem góruje posąg Maryi. W mieście są fantastycznie poprowadzone ścieżki rowerowe, więc zwiedzanie z perspektywy dwóch kółek jest czystą przyjemnością. Pod wieczór wyjeżdżamy z San Sebastian i rozbijamy namioty na łące niedaleko głównej drogi.



Dzień 35.

(4 września 2012 r.)

Dziś naszym celem jest Bilbao będące stolicą Kraju Basków. Kraj Basków obok Katalonii cieszy się dość dużą autonomią w Hiszpanii, którą uzyskały po śmierci generała Franco, który tłumił wszelkie przejawy swobody uznając je za działania separastyczne. Jednak zanim dojedziemy do stolicy Basków czeka nas przeprawa przez góry i pagórki ciągnące się wzdłuż całego północnego wybrzeża Hiszpanii. Rozciąga się stąd bardzo ładny widok na Atlantyk i na skaliste wybrzeże. Do Bilbao dojeżdżamy dopiero wieczorem, ale miasto nie ma zbyt wielu zabytków więc turystów stara się przyciągnąć ciekawą architekturą. Bardzo ciekawie przedstawia się muzeum Guggenheim! Przed nim z jednej strony znajduje się ogromna rzeźba pająka, a z drugiej równie wielki miś stworzony z kwiatów. Miasto jest położone na dość górzystym terenie więc ciężko się je zwiedza na rowerach, ale za to prezentuje się przepięknie nocą – ponieważ jest bardzo ładnie oświetlone. Aglomeracja Bilbao jest dość duża, więc wyjechanie zajmuje nam trochę czasu – przejeżdżając przez kolejne miasteczka widzimy jak w Hiszpanii do późnych godzin nocnych toczy się życie przed pubami i kafejkami, ale tu w nocy jest blisko 20 stopni ciepła – niewiele mniej niż w dzień.





Dzień 36-39.

Kontynuujemy naszą wyprawę jadąc cały czas północną częścią Hiszpanii. Za nami Kraj Basków, Kantabria, a niedługo opuścimy Asturię i wjedziemy do Galicji – ostatniej hiszpańskiej prowincji na naszej drodze do Cabo de Roca. Hiszpanie to bardzo towarzyski i przyjaźnie nastawiony naród – co chwilę ktoś nas pozdrawia, macha do nas, albo klaszcze gdy jedziemy. To dodaje otuchy i siły, których potrzebujemy, bo północ Hiszpanii obfituje w większe i mniejsze wzniesienia, które przy towarzyszącym pięknym słońcu potrafią dać w kość. Od kilku dni nasza droga wiedzie wzdłuż „Camino de Santiago” – czyli



„Szlakiem św. Jakuba”. Tę długą i męczącą drogę co roku pokonują rzesze turystów nie tylko z Europy, ale i z całego świata. Wraz z kolejnymi pokonywanymi kilometrami coraz częściej napotykamy pielgrzymów, przeważnie podróżujących samotnie. Długa wędrówka to okazja, by dokonać swego katharsis, by zostać sam na sam z własnymi myślami, przemyśleć błędy, dokonać bilansu zysków i strat, dobrych i złych decyzji w życiu. Jest to też okazja, by móc z jednej strony podziwiać malujące się przed oczami górskie pasma ze szczytami spowitymi we mgle, a z drugiej bezkres oceanu.

Droga wijąca się wzdłuż wybrzeża niesie ze sobą tę korzyść, że wśród niej ulokowane jest mnóstwo plaży, z których po prostu żal nie skorzystać. Tym bardziej, że plaże Asturii są bardzo dobrze utrzymane i zadbane – wiemy o tym, bo raz zdarzyło nam się nocować na jednej z nich i już o 4 rano obudził nas personel dbający o porządek. Najpierw po całej plaży jedzie traktor wraz ze specjalną przyczepą, która oczyszcza piasek z wszystkich zanieczyszczeń, później przyjeżdża koparka zbierająca glony i śmieci, które fale oceanu wyrzuciły na brzeg. Dzięki temu wszystkiemu już o świcie plaża jest czysta i



przygotowana do wypoczynku. Po jednym z takich wypoczynków spotkała nas nie zbyt przyjemna sytuacja – niedługo po wyjeździe zatrzymała nas policja i jednemu z nas wlepiła mandat za słuchanie muzyki podczas jazdy na rowerze. Niestety z panami z Guardia Civil nie sposób wdać się w dyskusję z dwóch powodów: po pierwsze – nie są bardzo skłonni do rozmowy, a po drugie – nie mówią po angielsku... Więc gdy was zatrzymają dostaniecie od nich kartkę z przeprosinami, że nie mówią po angielsku, a później drugą... z mandatem. Słuchanie muzyki podczas jazdy na rowerze to przyjemność wyceniona przez hiszpański kodeks wykroczeń na 200 Euro, ale jeśli mandat zapłacimy od razu to dostajemy 50% bonifikatę. W taki oto sposób pożegnaliśmy z portfela 100 Euro. Trudno - dura lex, sed lex.

W Ribadesella jest jaskinia – Tito Bustillo, w której zachowały się malowidła sprzed 12 tysięcy lat przed naszą erą. Dość nietypowe jest to, że przedstawiają one sarny, które są rzadko spotykane w tym rejonie. Malowidła są bardzo cenne i łatwo ulegają zniszczeniu, więc liczba odwiedzających jest ściśle ograniczona – 150 osób dziennie. W dniu, w którym tam byliśmy został limit dla jeszcze 3 osób, więc niestety nie udało nam się jej odwiedzić.

Odpoczywając przy stacji benzynowej napotykamy na szwedzkiego pastora, który wybrał się na Szlak św. Jakuba i akurat wracał do Santander. Wspomniany pastor wzbudził nasz niepokój, bo powiedział,



że niedaleko od Santiago de Compostela jest koniec Europy! Po krótkiej polemice wyciągnęliśmy mapy i sprawdziliśmy, który z przylądków jest bardziej wysunięty na zachód. Okazało się, że mamy rację – Cabo de Roca jest bardziej na zachód, a pastor zażartował, że teraz będzie musiał jeszcze raz wybrać się w podróż, by zobaczyć prawdziwy koniec Europy.

Dzień 40.

40 dni i blisko 4000 kilometrów – tyle właśnie dzieli nas od Krakowa. Choć już przejechaliśmy szmat drogi to w dalszym ciągu przytrafiają się nam nieprzewidziane sytuacje, które wymuszają skorygowanie naszych planów. Dziś do takich sytuacji zaliczamy 3 przebite dętki z samego rana. Mimo tego jedzie nam się dobrze, bo choć Hiszpania słynie z ciepłego klimatu na razie tego nie odczuwamy, więc dość szybko żegnamy Asturię i wjeżdżamy na drogi Galicii – na szczęście dość mało ruchliwe, co pozwala na bezpieczną jazdę nocą. Na nocleg wybieramy stację benzynową.

Dzień 41.

Wybór stacji benzynowej na nocleg nie był złym pomysłem. Udaje nam się wcześnie wstać, ale nie jest to zasługa naszych budzików, tylko kompresora, który obudził nas już o 6 rano. Koło stacji jest bar, więc już z samego rana rozkoszujemy się pić świeżej kawy, a przy okazji oglądamy prognozę pogody. Popołudniu dojeżdżamy do La Coruny – miasta w którym można zwiedzić jedyną zachowaną latarnię morską z okresu starożytnego. Z góry rozpościera się widok na miasto i skaliste wybrzeże oblewane przez wzburzone fale oceanu. Z racji tego, że podobnie jak w Polsce tak i tutaj muzea w poniedziałki są za



darmo decydujemy się na zwiedzenie muzeum militarnego. Znajduje się w nim wiele eksponatów z okresu drugiej wojny światowej (w której Hiszpania nie brała udziału), portrety hiszpańskich królów, i najciekawszy z eksponatów miniaturki statków – m.in. karaweli którymi Kolumb wyruszył by poszukiwać drogi morskiej do Indii. Jedynym mankamentem wspomnianego muzeum jest fakt, że nic (poza fragmentem brytyjskiej gazety z 1944 r. informującej o inwazji w Normandii) nie jest po angielsku. Jeśli ktoś zna hiszpański, będzie mógł tam spędzić wiele godzin. Wieczorem zaskakuje nas deszcz... To wbrew temu co obiecywali w prognozie pogody...

Dzień 42.



Wczorajszy deszcz zmusił nas do znalezienia noclegu trochę wcześniej niż to planowaliśmy. Dodatkowa zerwana linka od przerzutki powoduje, że jedziemy wolnym tempem i w konsekwencji dojeżdżamy do Santiago de Compostella dopiero około 11, gdy w pobliżu bazyliki zaczyna się już robić tłoczno. Sama bazylika imponuje swoją wielkością. Wg legendy są tu złożone relikwie św. Jakuba – patrona Hiszpanii, apostoła, który zmarł śmiercią męczeńską w 44 r. Santiago to cel wielu pielgrzymów wyruszających na szlak św. Jakuba. Szacuje się, że rocznie tę drogę przemierza nawet 11 mln osób. W niewielkiej



odległości od Santiago leży Padron – miasto do którego przybił statek z relikwiami patrona Hiszpanii, a jeszcze dalej na południe Pontevedra – tu z kolei powstała Santa Maria – dowiedziona przez Kolumba w drodze do Ameryki. Po wyczerpującym dniu przytrafia nam się miła niespodzianka – policjanci z Redondeli oferują nam możliwość spędzenia noclegu na hali gdzie trenują! Oczywiście korzystamy z tej propozycji i noc (ostatnią w Hiszpanii) spędzamy w ciepłym miejscu, choć tym razem nie śpimy na trybunach :)

Dzień 43.

Dość szybko dojeżdżamy do Vigo – miasta przemysłowego, w którym nie ma wiele do zobaczenia. To już ostatnie z większych hiszpańskich miast jakie odwiedzamy. W niewielkiej odległości, w kierunku południowym leży Baiona, w której można podziwiać ogromną twierdzę. My jednak więcej czasu spędzamy na siłowni na otwartym powietrzu, która znajduje się pod wzgórzem twierdzy. Po prostu – od kiedy jedziemy po płaskim za mało się męczymy – stąd tak długa przerwa na ćwiczenie :) Baiona oprócz twierdzy i siłowni słynie z tego, że to właśnie tutaj zawinęła „Pinta” – jeden z statków dowodzonych przez Kolumba. To właśnie w Baiona jako pierwszym europejskim porcie rozeszła się wieść o odkryciu nowego świata. W niewielkiej odległości od twierdzy znajduje się nawet reprodukcja wspomnianego statku - w skali 1:1, niestety jest w trakcie konserwacji i nie można na niego wejść. Od Baiona już niedługa droga do granicy z Portugalią – przekraczamy ją w świetle zachodzącego słońca. Wieczorem próbujemy portugalskich win. Nic dziwnego, że Portugalczycy spożywają najwięcej wina w Europie, skoro butelkowane i przyzwoite w smaku wino można kupić za 1,2 euro, a najtańsze są po 40 centów. Są też wina pakowane do małych kartoników o pojemności 200 ml. Wybór win w Portugalii jest naprawdę duży i zadowoli chyba największych smakoszy.



Dzień 44.

Nie spiesząc się, po przejechaniu ponad 90 kilometrów dojeżdżamy do Porto – miasta znajdującego się



na liście UNESCO. Z racji tego, że do aglomeracji wjeżdżamy dopiero wieczorem decydujemy się na znalezienie miejsca do spania, a zwiedzanie zostawiamy na dzień następny. Porto słynie przede wszystkim z licznych winnic rozproszonych wokół miasta i z wina... Porto. Żał byłoby być w tym mieście i nie spróbować sławnego trunku. Na noc kupujemy dwie odmiany Ruby i Tawny - oba są słodkie. Tak właśnie spędzamy wieczór - na delektowaniu się Porto i podziwianiu rozgwieżdżonego nieba w akompaniamencie wzburzonych fal oceanu rozbryzgujących się o skaliste wybrzeże.



Dzień 45.

Dzień rozpoczynamy od zwiedzenia muzeum wina Porto. Można się tu zapoznać z kilkusetletnią historią jego produkcji, transportu i zobaczyć makiety łodzi jakimi je transponowano. Odwiedzamy najciekawsze dla nas zabytki: kościół św. Mikołaja, na udekorowanie którego zużyto 500 kilogramów. Przez pewien czas był on nawet zamknięty dla pospółstwa, żeby nie wzbudzać pożądania bogactwa. Trzeba przyznać, że kościół robi ogromne wrażenie. W bezpośrednim sąsiedztwie znajdują się katakumby gdzie przechowywane są szczątki fundatorów kościoła oraz ważnych notabli. Po południu jedziemy do siedziby jednego z naszych sponsorów - Mota-Engil. Na wstępie zostajemy poczęstowani obiadem a później kawą; podczas spotkania się dowiadujemy kilku ciekawostek na temat firmy i całej Portugalii, dostajemy też kilka wskazówek jak ominąć pagórki na drodze do Fatimy. Na pożegnanie wręczamy pamiątkową koszulkę TGR wraz z naszymi podpisami, a w rewanżu otrzymujemy film o misji firmy i jego założycielu. Kolejnymi ciekawymi miejscami wartymi odwiedzenia są: stary dworzec wraz z ogromnymi mozaikami i muzeum fotografii. Muzeum może się poszczycić naprawdę imponującym zbiorem aparatów (najstarsze modele pochodzą z 1845 roku) od tych miniaturowych szpiegowskich jak z filmów o Bondzie po wielkie studyjne z przełomu XIX i XX wieku. Znajduje się tu też największy na świecie aparat, a w podziemiach umiejscowiona jest galeria zdjęć. Noc ponownie spędzamy na plaży - dokładnie w tym samym miejscu co wczoraj.



Dzień 46.

Z samego rana zwiedzamy winnicę Croft, w której poznajemy szczegóły na temat produkcji wina, a także mamy okazję od razu go spróbować. Od przewodnika dowiadujemy się, że do Porto dolewa się Brandy, która zatrzymuje proces fermentacji. Taka mieszanka nadaje winu niepowtarzalny smak i sprawia, że jest słodkie. Taka mieszanka „leżakuje” w beczkach przez kilka lat, choć są też odmiany,



które leżakują w butelkach. Największe beczki mogą pomieścić aż 60 tysięcy tego szlachetnego trunku, jednak większość jest przechowywana w beczkach o pojemności 637 litrów. Raz do roku beczki są opróżniane by je wyczyścić i usunąć szkodliwe mikroorganizmy – ten proces powoduje, że w ciągu roku ubywa średnio 5% ich zawartości. Na południe od miasta znajdują się plaże, na których można wypocząć, surfować na wzburzonych falach albo po prostu podziwiać krajobraz różnorodnego wybrzeża. Wzdłuż wybrzeża prowadzi też bardzo dobrze utrzymana ścieżka rowerowa co jakiś czas zbaczająca na drogę.



Koło 18 wjeżdżamy do Aveiro – portugalskiej Wenecji. Już na samym początku problem z przejazdem przez miasto spowodowany wyścigiem kolarskim – większość głównych dróg jest zablokowana. Po krótkim błędzeniu dojeżdżamy do centrum, w którym... odbywa się bieg! Jakby tego było mało jedna z głównych ulic jest zablokowana z powodu manifestacji. Jedno małe miasteczko, a tyle się tu dzieje. Jedzie nam się tak dobrze, że dopiero późnym wieczorem decydujemy się na poszukanie miejsca na nocleg. Trafia nam się opuszczona hala, koło której rozkładamy karimaty. Po zaledwie kilkunastu minutach pojawia się dość duża mgła, ale nie przejmujemy się tym; co jakiś czas przyjeżdżają też „właściciele” hali, którzy w swojej hojności pozwalają nam spędzić tu jedną noc. Niestety nie rozumiem portugalskiego, szkoda, bo być może któraś z tych osób, które się zainteresowały się naszym noclegiem chciała nam powiedzieć, że to nie jest najlepsze miejsce na spędzenie nocy.

Dzień 47.

Opadły mgły i miasto ze snu się zbudziło, a my... A my śpimy aż do 11 odsypiając nieprzespaną noc. Mgła, która pojawiła się późnym wieczorem sprawiła, że nasze śpiwory były całe mokre i nie mogliśmy zasnąć w komfortowych warunkach. Pierwszy przystanek robimy na stacji, po przejechaniu zaledwie jednego kilometra – jest to wymuszone przebitą dętką, ale jest to też okazja by wysuszyć śpiwory. Mimo, że wyjeżdżamy dopiero koło południa znajdujemy czas by zatrzymać się na plaży i wziąć prysznic. Cały czas kierujemy się na południe – w stronę Fatimy. Na ostatniej stacji przed Fatimą pytamy o nocleg i od pracownika dostajemy informację, że dla pielgrzymów są przygotowane miejsca w specjalnym Domu. Niestety nie wiemy gdzie go szukać, a nie mamy też mapy miasta, na szczęście trafiamy na życzliwych nam ludzi – jedziemy za karetką, która prowadzi nas do celu.



Dzień 48.

Dzień rozpoczynamy od zwiedzenia Bazyliki, w której znajdują się groby dzieci, którym 13 maja 1917



roku objawiła się Matka Boża. Przed Bazyliką znajduje się ogromny plac – ponad dwa razy większy od rzymskiego placu św. Piotra. Dla pielgrzymów przybywających do Fatimy szczególnie ważna jest Kapliczka Objawień wybudowana w miejscu dębu gdzie objawiła się Matka Boża. Warto przypomnieć, że papież Jan Paweł II odwiedził Fatimę równo w rok po zamachu Aliego Agcy; tutaj również czyhano na jego życie. Zamach zakończył się zranieniem, na szczęście niegroźnym. W Batalhi odwiedzamy XIV-wieczny monastyr wpisany na listę UNESCO, który imponował wielkością i gotyckimi zdobieniami, z kolei w Alcobaca znajduje się największy klasztor Cystersów również wpisany na listę UNESCO. Pomimo napiętego harmonogramu znajdujemy też troszkę czasu by odpocząć na plaży w Nazare.



Dzień 49.

Na nocleg wybraliśmy market, więc już z samego rana obudziły nas zraszacze, ale to w niczym nie przeszkadzało bo i tak chcieliśmy wcześniej wyjechać. Trasa wiodąca wzdłuż portugalskiego wybrzeża w przeciwieństwie do hiszpańskiego jest dość mało górzysta dlatego jedzie nam się przyjemnie i dość szybko. W Caldas da Rainha zwiedzamy muzeum rowerów – niektóre eksponaty pochodzą z lat 30 ubiegłego wieku, można tu zapoznać się z historią portugalskiego kolarstwa, a także poczytać relację z wyprawy którą przed 80 laty żyła cała Portugalia, gdzie kilku kolarzy wybrało się w rowerową podróż liczącą 2500 kilometrów. Na licznych fotografiach można dostrzec pierwowzór sakw wyprawowych – wiklinowe kosze montowane na bagażnikach, które służyły również na co dzień do transportu warzyw i owoców. Rozleniwienie po zwiedzaniu delectujemy się smakiem świeżych melonów i decydujemy się na krótką popołudniową drzemkę, dopiero po godzinie wyruszamy w dalszą drogę. W Obidos robimy jeszcze krótką przerwę by zobaczyć akwedukt, który liczył sobie niespełna... 50 lat.





**Magiczny
Kraków**

Dzień 50.



Przejechaliśmy 4800 kilometrów, odwiedziliśmy 7 krajów, przebiliśmy 16 dętek, złamaliśmy 4 szprychy - wszystko po to by zobaczyć gdzie kończy się ląd a zaczyna woda - Cabo da Roca ZDOBYTE!





Dzień 51.

Budzimy się na Cabo da Roca o świcie, by móc podziwiać przylądek skąpany wschodzącym słońcem. Kilka pamiątkowych zdjęć i zakup pocztówek, ostatnie spojrzenia na ocean i monument symbolizujący najdalej na zachód wysunięty skrawek europejskiego kontynentu i wyruszamy w dalszą drogę, z satysfakcją opuszczając cel naszej 50-dniowej podróży. Dziś postanowiliśmy odpocząć i cieszyć się ze zdobycia kolejnego krańca, więc większość dnia spędzamy na pierwszej napotkanej plaży – kąpiemy się w bardzo dużych falach, wypisujemy kupione wcześniej pocztówki i podziwiamy piękne widoki i fale – coraz większe wraz z upływającymi minutami. Już powoli zaczynamy tęsknić za Portugalią, pięknymi plażami i wysokimi temperaturami, na które pewnie będziemy czekać aż do lipca! Po drodze robimy jeszcze kilka zdjęć, w miejscu gdzie fale rozbryzgują się o skaliste wybrzeże z taką mocą, że z daleka można mieć wrażenie, że natrafiło się na gejzer. Na nocleg wybieramy park około 10 kilometrów przed Lizboną.



Dzień 52.

Powoli zaczynamy rozumieć portugalską pogodę – gdy wstaniecie rano, np. o 7-8 lub ewentualnie 10 (jak my) prawdopodobnie zobaczycie zachmurzone niebo. W Polsce byłby to zwiastun deszczowego dnia, ale nie tutaj! Im bliżej południa tym niebo robi się czystsze i około godziny 11 można się cieszyć piękną i słoneczną, a co ważniejsze bezchmurną pogodą. To tłumaczy dlaczego Portugalczycy wstają tak późno :)

Zaledwie 250 lat temu Lizbona została zniszczona przez ogromne trzęsienie ziemi, które dokonało wielkiego spustoszenia i pozbawiło życia 10% ludności. W konsekwencji nie pozostało tu za wiele zabytków – pierwszym, który wybieramy do zwiedzania jest Torre de Belem, który po trzęsieniu ziemi nienaruszony przysunął się bliżej lądu. Można stąd zobaczyć panoramę stolicy, miejsce gdzie życie kończyli ci którzy sprzeniewierzyli się prawu – ponoć znaleziono tu szczątki ponad 100 ludzi! Wyruszamy do Lizbony i tu dzielimy się na dwie grupy – czas nie jest z gumy a miejsc wartych zobaczenia jest wiele – część z nas decyduje się zwiedzić klasztor Hieronimitów, a część muzeum morskie. Cóż można powiedzieć... Warto zobaczyć oba! Wspólnie decydujemy się spróbować Pasteis de Nata – słynnych lisbońskich ciasteczek, które w smaku przypominają ciastka z budyniem. Lizbońskie ulice tętnią życiem aż do późnych godzin wieczornych, my decydujemy się jednak wypaść i odpocząć przed kolejnym, ostatnim już dniem w portugalskiej stolicy.



Dzień 53.



**Magiczny
Kraków**



Wczoraj zwiedziliśmy większość zabytków, dziś mamy więc czas by kupić pamiątki i słynne wino Porto... Mimo wzajemnych animozji pomiędzy Porto a Lizboną można je tu kupić bez problemów i to nawet z tych najznakomitszych winnic. Prawie całe popołudnie spędzamy na południu Lizbony, gdzie w 1998 roku odbywały się targi EXPO. Można tu zobaczyć wiele ciekawych architektonicznie budynków, pospacerować po pięknie poprowadzonej kładce, albo wyjechać kolejką w stronę najdłuższego w Europie mostu wiszącego. Ponte Vasco da Gama liczy aż 17 km i jest najdłuższym mostem w Europie. Wizyta w

dzielnicy EXPO to też okazja by odwiedzić oceanarium lub jedną z największych galerii handlowych, widać stąd pomnik odkryć geograficznych, a wzdłuż wybrzeża znajdują się flagi państw z informacją o liczbie ludności i powierzchni. Właśnie tak spędzamy ostatni dzień w Portugalii, a na wieczór pozostawiamy sobie przyjemność spakowania się i przygotowania rowerów do powrotu. Do zobaczenia w Krakowie!